

Praca aktora nad sobą

ADAM BUKOWSKI

z rodziną, sprawy rodzinne, i znowu praca przez kilka godzin, odpisywanie na listy, korespondencja, wieczorna toaleta i do łóżka Dzień wolny od wykładów spędzał w bibliotekach, księgarniach w poszukiwaniu materiałów do pracy nad tym, czym w danej chwili pracował. Przez wiele lat, gdy w 1978 przejdzie na emeryturę, niewiele się jego życie zmieni, a wręcz przeciwnie jeszcze więcej weźmie na swoje barki. Aby tak żyć trzeba, ograniczyć życie towarzyskie, zacząć je układać od ciężkiej pracy tłumacza, wykładowcy, eseisty, zatopiony w polskości „po same uszy” stanie się kosmitą, który stworzy podwaliny, fundamenty do polskości widzianej oczami kosmita, bez banałów typu Polacy naród wybrany, Chrystus Europy, martyrologii, bez egzaltacji, bez szowinizmu wychwalającego siebie. Zastanawiał się jak wyjaśnić Amerykanom „Pana Tadeusza”, twórczość Mickiewicza, piszącego „Litwo ojczyzno moja”, po polsku, który urodził się na Białorusi, a poemat pisał we Francji. Sam o sobie mówił pysznie: nie urodziłem się w Polsce, nie wychowałem w niej, nie mieszkam w niej, ale piszę po polsku. Chciałby być Litwinem, ale nie może, bo pisze po polsku, ale nie chce być Polakiem, Słowianinem, bo Słowianie w Ameryce znajdują się na samym dole społecznym w oczach społeczeństwa angielsko-niemieckiego. Jest ambitny, nie chce uważać się za kogoś „z narodu poniżonego”. Znany był z tego, że potrafił „pokazać język” polskości i Polakom w Ameryce, ale tak naprawdę to była tylko gra aktora, który nie mógł żyć bez polskości i Polaków, bo pisał „mową upodlonych”, myślał jak kosmita, ale jego myślenie było polskie, nawet jeśli skierowane przeciwko Polsce. Powstaną książki z esejami, antologia poezji, podręcznik akademicki, „The History of Polish Literature”, w niej poeta opíše historię literatury polskiej, tak jak on ją widział, czuł, tak aby mogli zrozumieć ją ci, dla których Polska to tak odległa planeta, że aby do niej dolecieć, potrzeba świetlnych lat. Opracowuje też „Pamiętniki Chryzostoma Paska, promuje polską literaturę, napisze książki, bez których dzisiaj jest trudno nawet mówić o polonistyce w Ameryce. Pod koniec lat 60., skupi uwagę na sobie, na swojej twórczości, po tłumaczeniach wierszy

Z. Herberta, T. Różewicza i innych zaczął pracę nad przekładami swojej twórczości. Ta strategia jest genialna, bo co by było, gdy zaczął swoje życie od wydawania swoich wierszy, bez podręczników do nauczania studentów, ale od publikacji własnego dorobku. Wiele razy mówił i pisał Ameryka to nie Europa, w niej poezja nie zrobi wielkiego wrażenia, jeśli jest się tylko poetą, tutaj każdy profesor literatury angielskiej jest poetą, literatem. Na prawie każdej uczelni utworzono kierunki nauczania pisania poezji, prozy, dramatu, scenariuszy, etc. Uczą na nich poezji, prozaicy, większość z nich nie ma wykształcenia uniwersyteckiego, wielu tylko skończoną szkołę średnią, ale uczą studentów, bo mają coś do nauczania ich, przekazania, podzielenia swoją wiedzą. Większość tych wykładowców ma cenione przez ogół nagrody literackie, krajowe i zagraniczne, dorobek pisarski i to się dla Amerykanów liczy, a nie ich prace doktorskie czy tytuły profesorskie. Miłosz jako kosmita wybrał najlepszą z najlepszych dróg swojego rozwoju duchowego i intelektualnego w pierwszych latach w Ameryce poprzez pracę nad twórczością innych, poprzez budowanie fundamentów, na których będzie mógł postawić dom literatury polskiej. Nie oznacza, że nie pisał wierszy na własny użytek, pisał, ale tylko dla siebie. Z czasem powie przewrotnie, że przez wiele lat w Ameryce znali go tylko jako tłumacza wierszy Herberta, ale w tym „szaleństwie przekładów” była metoda wprost genialna, on sam rozbudził w sobie nie spotykana na skalę światową ciekawość do świata, Rosji, literatury rosyjskiej, metafizyki, historii swojej małej ojczyzny, religii, przeszłości, zaczął interesować się jeszcze bardziej swoimi korzeniami, dokopywać się do różnych jej pokładów. Poprzez Rosję, Amerykę będzie chciał zrozumieć ten mały kawałek ziemi na mapie świata, na którym się urodził i wychował, nigdy się nie uwolni od miejsca urodzenia. Jest to jego przekleństwo i błogosławieństwo dla nas, jego czytelników. Nawet będzie próbował zrozumieć Amerykę poprzez historię Europy, Rosji XIX w., to też mu się nie za bardzo uda, bo nie wrośnie w Amerykę, będzie żył w niej obok zajmując się najbardziej „swoim podwórkiem” – literaturą polską.

Praca aktora nad sobą, taki tytuł nosi bodaj najważniejsze dzieło rosyjskiego aktora, reżysera i pedagoga teatru – Konstantego Stanisławskiego. Jednym z aspektów proponowanej przez niego metody gry scenicznej było budowanie roli przez aktora w oparciu o własne doświadczenia i przeżycia wewnętrzne. W ten sposób, w czasie przedstawienia teatralnego, aktor miał być bardziej przekonujący a jego gra prawdziwa i naturalna.

Powyższe stwierdzenie jest oczywiście bardzo ogólne, a to ze względu na fakt, że niniejszy tekst nie uzurpuje sobie prawa do fachowego omówienia problematyki dzieła tego wybitnego człowieka teatru. Dzieło Stanisławskiego nie zostało tutaj przywołane ze względu na swoją wartość merytoryczną, lecz jedynie ze względu na... tytuł. Zgodnie z założeniem rosyjskiego reżysera, oznaczać on miał pracę człowieka, którego zawodem jest aktorstwo, nad rolą, którą ma on zagrać w danym spektaklu. Aktor jest więc pojmowany jako członek ściśle określonej grupy społeczno-zawodowej, do której reżyser kierował swoje uwagi, choć, jak wiadomo, dzieło Stanisławskiego zyskało o wiele większą rzeszę czytelników.

Okazuje się jednak, że tytuł ten nie musi odnosić się tylko do takiego pojmowania zjawiska „pracy aktora nad sobą”. Wystarczy jedynie przededefiniować słowo aktor, a nabiera ono zupełnie nowego, by tak rzec, uniwersalnego znaczenia. Jakże zatem pole semantyczne należałoby przyporządkować nowemu rozumieniu słowa aktor? W próbie odpowiedzi na to pytanie niech posłuży ciąg na pozór banalnych pytań, które jednak niczym zwrotnica, skierować powinny myślenie o artyście teatralnym na inny tor.

Czyż de facto nie jest tak, że niemal wszystkie bodźce zewnętrzne generują w nas konkretne zachowania, czyny, gesty i słowa? Czy niemal w każdej chwili swojego życia nie wdziemy w kostium i nie zakładamy masek, które pomagają nam osiągnąć wytyczony cel? Czy zatem każdy człowiek nie jest tak naprawdę po części komediantem, a po części bohaterem tragicznym? Choć pytań wiele, to odpowiedź jest jedna i oczywista: tak, każdy z nas jest aktorem, grającym rolę w spektaklu swojego życia.

Takie ujęcie człowieczego bytowania nie jest oczywiście żadnym *novum*, co więcej, funkcjonuje w kulturze już od wieków. Wystarczy jedynie przytoczyć wypełniający literaturę i sztukę wszystkich epok topos *theatrum mundi*, czy towarzyszące człowiekowi w mowie potocznej powiedzenia w stylu „robić dobrą minę do złej gry”. Choć jest to stwierdzenie oczywiste, nad którego znaczeniem przestano się głębiej zastanawiać, to może jednak warto zwrócić się ku niemu z nowym oglądem i z innej perspektywy.

Biorąc pod uwagę niemal każdą naszą codzienną czynność, szybko można zauważyć, że wchodzimy w nieskończoną ilość ról, zatracając siebie w mnogości przybieranych kostiumów i masek. Jak wielu z nas pod prysznicem staje się gwiazdą sceny muzycznej, przed lustrem idealnie zbudowanym przystojniakiem, a na ulicy



modelką, prezentującą doskonale dobrane dodatki. Jednakże to tylko jeden z aspektów gry aktorskiej – rola w monodramie. Postaciami prawdziwego dramatu stajemy się w interakcji z innymi ludźmi, przed którymi zmieniamy się w erudyte na zajęciach dydaktycznych, specjalistkę w pracy, inteligenta w teatrze, zamożnego jegomościa w sklepie, nienaganną żonę i matkę, gentlemiana dla dam, dowcipnisia wśród znajomych, itd., itd. Jak się okazuje, nie przestajemy nimi być także w czasie kiedy nasza świadoma aktywność ograniczona jest do minimum. Sen to przecież także stan nieustannego wchodzenia w rolę, kiedy to nasz umysł rozgrywa najróżniejsze scenariusze, w których stajemy się na powrót dziećmi, lub nieustraszonymi bohaterami, czy namiętymi kochankami. Czy zatem kiedykolwiek zarzucamy aktorstwo aby choć na moment być sobą, indywidualną jednostką, posiadającą niepowtarzalny zestaw danych personalnych?

W wielu dziedzinach życia funkcjonuje termin „ciemna strona”: ciemna strona księżycy, ciemna strona duszy, ciemna strona mocy itp. W psychologii jest to jeden z wariantów tłumaczenia anglojęzycznego terminu *the shadow side*, który oznacza nieznaną, ukrytą w cieniu stronę ludzkiej natury. Nie chodzi tu jednak o głęboko ukryte, złowrogie i mroczne aspekty ludzkiej psychiki. *Shadow side* rozumieć należy jako prawdziwe oblicze każdego człowieka, pozostające w cieniu niezliczonej ilości póż przybieranych każdego dnia. W koncepcji tej, człowiek jest nieustannie wchodzącym w rolę aktorem, który nie nadaje już nawet zmieniać kolejnych masek, lecz wdziawa jedną na drugą. Wedle psychologów zajmujących się tym zagadnieniem, aby dotrzeć do prawdziwej, zacięzionej natury, każdy człowiek zobowiązany jest do ciągłej pracy nad sobą, polegającej na zdzieraniu z siebie kolejnych masek. Warto się jednak zastanowić, czy w obliczu powyższych rozważań, jest w ogóle możliwe całkowite wyjście z roli życia codziennego? Wydaje się, że podobnie jak

księżyc zawsze pozostaje po części niedostępny dla oka, tak prawdziwa ludzka natura nigdy nie wyjdzie całkowicie z cienia. Zadaniem człowieka świadomego, chcącego zejść na drugi plan w wielkim teatrze świata, jest dążenie od nowiu ku pełni, aby na jaw ukazała się jak największa część jego osobowości.

W związku z powyższym, zupełnie nowego znaczenia nabiera tytuł dzieła Konstantego Stanisławskiego. „Praca aktora nad sobą” ma służyć nie udoskonalaniu roli, lecz odwrotnie, stopniowemu i mozolnemu uwalnianiu się od niej, porzucaniu kolejnych masek. Efektem owego wysiłku ma być odkrycie swojej prawdziwej tożsamości, która w drodze na scenę omija garderobę i charakterystatomię, która wychodząc na deski zapomina wszelkich technik gry aktorskiej i prezentuje się widowni taką, jaką jest naprawdę.

Otwarte pozostaje jednak jeszcze jedno, bodaj najważniejsze pytanie. Ilu ludzi jest gotowych nie tylko na całkowite obnażenie siebie przed światem, ale więcej, na konfrontację z dawno zapomnianym samym sobą? Podjęcie tego typu pracy związane jest ze sporym ryzykiem, gdyż możemy okazać się osobami o wiele mniej intrygującymi i interesującymi, niżli jesteśmy w od lat obsadzonej roli naszego życia. Wydaje się, że większości z nas o wiele bardziej odpowiada bycie gwiazdą w kameralnym teatrze swojego jestestwa, niżeli zdemaskowanie prawdy dotyczącej zakamarków swojej osobowości. Warto zaryzykować stwierdzenie, że tylko niewielu ludzi podjęłoby wyzwanie całkowitego zarzucenia masek codzienności w celu odkrycia samego siebie. Nie zapowiada się zatem, aby nowy przekład *Pracy aktora nad sobą* miał zyskać szerokie grono aktywnych odbiorców.

Z racji ogólnego charakteru powyższych rozważań, postanowiono w tym miejscu jedynie przywołać nazwisko Zygmunta Freuda i wypracowaną przez niego teorię ludzkiej świadomości, nie odwołując się jednak do niej bezpośrednio.

